



Wywiadowca idzie z narzeczoną na spacer.

PRZESADA

Grono myśliwych. Siedzą przy ognisku i opowiadają nadzwyczajne przygody. Jest mowa oczywiście o psach.

— Mój wyżeł — zapewnia jeden z uczestników biesiady — ma węż nadzwyczajny. Pewnego razu idę z nim koło cukierni Lourse'a na Krak. Przedmieściu. Nagle patrzę, pies coś wystawia. Podniósł ogon i krok za krokiem skrada się ku werandzie, na której siedzi samotny jegomość z teczka. Pytam go, czy czasem nie ma w teczce kuropatwy, lub kawałka zająca.

— Nie — powiada — mam tylko papiery.

— To czemuż u diabła pies pana wystawiał?

— Ha — powiada na to — pewnie dlatego, że się nazywam Przepiórka... Był to, moi kochani panowie, prezes warszawskiego klubu szachistów.



Praktyczność kobieca

LATARNIA MORSKA

Jak wiadomo, latarnie morskie tym się różnią od wszelkich innych latarni, że światło ich gaśnie i zapala się w pewnych odstępach czasu.

Na wybrzeże helskie przyjechała matka jednego z na szczytach marynary. Zdarzyło się, że syn ją pozostawił na kilka minut samą. Wracając pyta:

— No, jak się mama bawiła?

— Obserwowałam morską latarnię. Ale też ci ludzie, co tam siedzą, mają cierpliwość. Przez ten krótki czas naliczyłem, że zgasili i zapalili światło pięćdziesiąt osiem razy.

KONCERT W CHOTOMOWIE

Z okazji imienin p. burmistrza orkiestra straży ogniowej w Chotomowie zorganizowała uroczysty koncert z udziałem zaproszonego solisty na trąbce.

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. I dopiero podczas próby generalnej wyszedł na jaw pewien mankament. Albowiem pan kapelmistrz był jakąś, do czego członkowie orkiestry byli przyzwyczajeni, lecz nie był przyzwyczajony solista.

— Jak zawolał te... te... raz, to pan odegrasz so... so... so... lo w uwerturze — oznajmił szef. I na tym stanęło.

Nadszedł wielki dzień. Zdenerwowany kapelmistrz stuka w pulpit, prowadzi uwerturę i w odpowiedniej chwili zwraca się do solisty. Chce zawołać, lecz głos mu uwiązł w gardle. Wyciąga szyję, porusza ustami, nic nie może powiedzieć. A kiedy wszystkie instrumenty zamilkły i w sali zapadła cisza, usłyszano rozpaczliwy jęk szefa orkiestry:

— Te... te... teraz już zapóźno!

Moi dłużnicy

— Opisał pan swoich wierzycieli — mówili mi znajomi z kwaśnym uśmiechem, przeczytawszy felieton świąteczny. — Niechże pan teraz opisz i dłużników.

Chętnie. Z całą przyjemnością. Dłużnicy to także wdzięczny naród i dziś bardzo rozrozdony. Można powiedzieć, prawdziwie mocarstwowa potęga. Jedyną na świecie, która przystoi naturalny jest w stanie kwitującym.

Czy mam dłużników? Jakżeby inaczej! Człowiek, który nie ma wierzycieli, jest bogaczem, ale człowiek bez dłużników to bardzo nikczemne stworzenie, bez serca i sumienia. Owszem, mam dłużników i także na okaz, modelowych.

Oto Dłużnik - Matematyk. Z sympatią myśl moja biegnie do tego chłopca. Jakże on genialnie rachuje. Bez błęd.

— Jestem ci winien — powiada kiedyś — dwa złote. Co to mi pożyczasz przy budce z papierosami, na zapalki, pamiętasz?

— Pamiętam, owszem. Pieszczył się tym wspomnieniem.

— Wobec tego pożycz mi jeszcze trzy, to będzie pięć.

W miesiąc potem spotykamy się znowu.

— Wybacz, że ci nie oddałem jeszcze tamtych pięciu pistoletów, ale zwykle o takich drobnych sumach nie pamięta się. A propos... może masz jeszcze wolne ze dwa złote.

Właśnie muszę jechać na Pragę po pieniądze, a nie mam na tramwaj. Masz? Cudownie, to jestem ci winien siedem złotych.

Potem pożyczka jeszcze trzy, żeby było okrągło dziesięć, a potem pięć, żeby było piętnaście. Potem wygrywam od niego w brydża sześć dwadzieścia, więc pożyczka ode mnie trzy siemdziesiąt. Potem on ode mnie wygrywa cztery złote, więc pożyczka jedenaście, dla okrągłego rachunku. Ponieważ zaś okazuje się, że rachunek nie jest okrągły, pożyczka jeszcze cztery.

Niesłoty, to było trzy lata temu. Teraz zaokrąglamy już do stu złotych.

Dłużnik „Skoda” należy do cenniejszych okazów mojej galerii. Odnacza się on niezwykłą stylizacją. Oto ludzie pospolici, jak to nam wszystkim wiadomo, różnie zaczynają zdania. Jedni mają zwyczaj stawić na początku „no”, inni rozpoczynają przemówienie wstępem „co słychać?”, jeszcze inni: „a u nas, w Białej Kujawskiej...”

On zaś zawsze rozpoczyna „speech” od wyrazu „szkoda”.

— Szkoda — mówi z żalem, spotkawszy mnie w tramwaju, że nie natknąłem się na ciebie pół godziny temu. Byłbym ci oddał te głupie dwadzieścia złotych.

— Głupie, nie głupie — powiadam — owszem, dwa złote to głupia suma, ale dwadzieścia...

— Jaka szkoda — wola innym razem, — że nie wpadłeś do mnie wczoraj. Właśnie miałem pieniądze! Szkoda!

— Ja także bardzo żałuję. A może jutro będziesz miał?

— Szkoda, że jutro muszę jechać do Radomia... ale w

przyszłym tygodniu... zaraz... a psiakość, na śmierć zapomnieliśmy, że w przyszłym tygodniu mam imieniny Stasia... Szkoda, psiakość...

A olo dłużnik Łowca Niespodzianek. Człowieka tego prześladowa saturn. Nieublagany złośliwy los. Wszystkie trzy Moiry sprzyściły się przeciwko niemu.

Pożyczka na przykład dziesięć złotych do wtorku. I oto co się dzieje: w poniedziałek za jakiś zatracony, grzeszociowy weksel zły człowiek urządził mu subhastację i dla uratowania się od kłeski musi Łowca Niespodzianek wybulić komornikowi ostatnie trzydzieści złotych. Albo: pożyczka piętnaście złotych do piątku. Dlatego do piątku, że w czwartek ma otrzymać pieniądze z domu. I naturalnie w czwartek pieniądze nie przychodzą. Spóźniają się. Dwa, trzy dni. Czasem tydzień.

Za mojej pamięci Łowca Niespodzianek dotknął następujące ciosy (wszystko w wigilię terminów oddania pożyczki): zachorowała ukochana ciotka, ukradziono mu książeczkę na broń, co pociągnęło za sobą multum formalności, straty czasu i kosztów. Bank zawiesił wypłaty. Kolega musiał nagle jechać do Radomia. W domu, gdzie mieszkał, wybuchł tyfus. W jaki sposób epidemia tyfusu odbiła się na jego niewypłacalności? W bardzo prosty: musiał na gwałt wyprowadzić się i szukać mieszkania. „Moje słowo” jak powiadała bohaterowie Londona, niespodzianki, prześladowa tego człowieka należą do bardzo wyjątkowych. Oto cios ostatni: miał asa, króla, damę, kier; asa, króla karo i osiem pików z wielką koroną. Oczywiście, grał szlęma w piki i... leżał bez pięciu: przebili mu pokolei wszystkie kara i kie-

ry. Z kontrą, rekontrą, subkontrą i brydżkontrą. Po dwa grosze punkt. Proszę obliczyć rozmiary tej kłeski. Przed, czy po partii? Jakże można mieć wątpliwości!!! Oczywiście, po.

Dłużnik Szczera Dusza nie rachuje, nie żałuje, nie spotyka go niespodzianki, tylko łagodnie i szczerze wyznaje: — Wiesz, drogi przyjacielu, nie chcę cię martwić, ale coś mi się zdaje, że będziesz musiał postawić krzyżyk na tych twoich pięciu pistoletach, co to mi pożyczyles na dworcach. A i na tych piętnastu z Eolu Młodej Inżynierii Wodnej także... a kto wie, czy i nie na tych dziesięciu z „Gospody Pod Kugłem”...

— Bój się Boga dlaczego?

— Ciągłe jestem goły. Nie się moja sytuacja nie poprawia... Do tego stopnia, że już nawet nikt mi dwu złotych nie chce pożyczyć

— Do tego stopnia? Nawet dwu złotych?

— A tak, a tak. Od rana szukam głupich dwu złotych i patrz: czwartą po południu, a dwu złotych nie ma. A może ty czasem masz dwa złote? A e nie chcę cię łudzić że ci przedkoddam... przeciwnie... bardzo nieprędko.

A potem, wpuściwszy pieniądze w kieszonkę od kamizelki, zatapia śnięty wzrok w niebo i dodaje:

— A najlepiej, to w ogóle nie liczyć na nie... na te dwa złote. Jestem w podłych interesach...

Mam jeszcze jednego dłużnika. Jest to człowiek skrupy. Ile razy mu się zdarzy pożyczyc mniejszą lub większą sumę (mniejsza suma to dwa złote, większa — pięć), przychodzi w terminie, siedzi na kanapie, wbija zrozpaczony wzrok w okno i powiada:

— Jestem podły złodziej. Bij mnie w mordę. Strzelaj w tebie, rób co chcesz. Nie mam tej forsy, com ci obiecał przynieść. Zastępuję na stryczek, na kulę w tebie, nawaliłem przyjacielowi pięć złotych, jestem ostatni totr...

— Trudno, nie martw się, jakoś tam będzie...

Wtedy dłużnik robi się jeszcze bardziej skruszony, opuszcza wzrok z okna na podłogę i szepce:

— Ale kiedy ja jestem jeszcze większa świnią, niż ty myślisz. Bo ja naprawdę nie mam pieniędzy i przyszedłem jeszcze od ciebie pożyczyć...

— Dużo? — szepczę z bólem.

— Ile możesz... pięć, trzy, dwa... każda suma mnie uratuje...

— Cóż... jeżeli każda suma...

Otrzymawszy każdą sumę, od razu nabiera werwy i ochoty do życia. Kładzie tę sumę na wskazującym palcu prawej ręki, przytłacza w nią od spodu kciukiem (bardzo zrećnie to robi), za czym, wpatrując się w wirującą, świetlistą słupkę i wstuchując w jego srebrny dźwięk powiada z uśmiechem:

— No, to jeszcze nie jest tak źle. Dopóki człowiek ma kredyt i zaufanie u ludzi, nie zgini. Servus! A jednak życie jest piękne.

Łapie monetkę w powietrzu i wybiega.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.

VERY.



Narzeczoną atletę spóźniła się na rendez-vous.

KUBA I JEGO PIES

Popularny dziennikarz warszawski p. K. ma wspaniałego owczarka, o którym opowiada rzeczy nadzwyczajne.

— Wyobraźcie sobie — zaczął raz w gronie kolegów — że podczas mego pobytu w Toruniu nie miałem czasu na zajmowanie się psem. Prosto wkładałem mu do pyska dziesięć groszy, a on biegł do piekarni i na miejscu zjadał bułkę na śniadanie. Pewnego razu sklepikarka zatrzymała mnie i pyta, dlaczego pies coraz rzadziej przychodzi. Nie wiedziałem co odpowiedzieć, ale zacząłem śledzić mego owczarka.

— No i co? — pytają słuchacze.

— I wyobraźcie sobie, co wyszło na jaw. Ten gałgan zrobił sobie skrytkę w jamie, do której znosił pieniądze, a kiedy zbierało się pięćdziesiąt groszy, biegł do rzeźnika i kupował ćwierć funta kisielki paszтетowej.

NASZE DZIECI



Nauczyciel: Jeśli dam ci złote, następnie dwie monety po 50 gr., następnie jeszcze dwa złote i wreszcie dwie monety po pięć złotych, to ile będziesz miał razem?

Uczeń: Niech pan profesor najprzód da, później się policzy.

MĄŻ I ŻONA

— Upprzedzam cię, moja kochana, że mogę dziś nie przyjść na kolację, gdyż mam na miejscu ważne sprawy do załatwienia. Gdybym nie mógł się zjawić przed północą, to przysyła ci list przez posłańca.

— Możesz nie przysyłać, bo list już znalazłam w kieszeni twojego pała.

— Jaktó, śmiesz otwierać moje listy!

— Ależ uspokój się. Ten list był do mnie zaadresowany.

LWOWSKA ANEGDOTA

Pewien kmiotek z pod Lwowa sprzedał handlarzowi młodego byczka. Nie na ubiór, gdyż stworzenie było rasowe i przedstawiało większą wartość. Po kilku latach ten sam wieśniak, spotkawszy handlarza, jął go wypytywać.

— Wasz byk, panie gospodarzu — rzekł figlarny kupiec — jest teraz we Lwowie adwokatem. Nie wierzyacie? Wstapcie na plac Bernardyński, tam wam pokażę, gdzie wasz bysio mieszka.

Zdumiony kmiotek jedzie do miasta, odnajduje tabliczkę z napisem „Konstanty Byk, adwokat”, wpada do mieszkania, rzuca się na szyję popularnemu mecenasowi i, całując go w czoło, wola:

— Bysiu, szczo ty mene, ne piznal?



Jak bokser wychowuje swe dzieci